

Nazywam się Olszewski Józef, pochodzę z województwa łomżyńskiego, z powiatu Kolno, mała wieś Kowalewo. W rodzinie mojej było trzech braci. Jeden z nich najstarszy był komendantem "Strzelców" - organizacja Piłsudskiego i w 1939r. jak wkroczyły do nas wojska radzieckie, NKWD poszukiwało działaczy przedwojennej Polski, usłużni ludzie powiedzieli o wszystkich, kto kim był. Gospodarstwo mieliśmy małe bo 12 ha wszystkiego z tym ziemi ornej koło 9 ha, także nie byliśmy tymi "kułakami", zazwyczaj tych aresztowano i wywożono ale tutaj w grę wchodziło, że był komendantem Strzelców i już w tym momencie od października jak wkroczyły te wojska do nas to już była tajna organizacja ZWZ. Zaraz tylko w trakcie organizacji to brat już się skontaktował z komendantem na rejon Kolno-Szczuczyn i organizował w dwóch gminach Lachowo i Grabowo kasa czyli oddziały ZWZ. Pewnego razu został zatrzymany przez służbę graniczną jak wracał ze Szczuczyna z takiej narady i dokumenty z działalności, organizacyjne miał schowane ^{w rowie} pod siodełkiem taka rura jest, w tej rurze... rewizję zrobili przy nim nie znaleźli nic i puścili go. Ale w gminie Grabowo był listonosz, który był na usługach służby NKWD, wydał brata, że brat nie tylko był komendantem przedwojennym ale i jest komendantem ZWZ. Jego aresztowali wcześniej 6 sierpnia 1940 r. kiedy brat wracał z pola boso, w koszuli tylko, nie miał marynarki bo to ciepło było, przyjechało dwóch obywateli radzieckich po cywilnemu i powiedzieli, że chcą z bratem porozmawiać, żeby założyć Spółdzielnię Mleczarską. Ponieważ on najbardziej "gramotny" jak to powiedzieli no to chcą z nim porozmawiać, żeby tą Spółdzielnię założyć. Myśmy nie spodziewali się bo byliśmy z mamą w domu, że to jest NKWD bo widziałem z dala że ^{już} idzie brat, mogłem ostrzec ale miałem wtedy 17 lat nie byłem dobrze w tych sprawach zorientowany, co to może być i w jakim celu oni przyjechali. Przyszedł brat to wzięli paszport brata i nawet nie kazali mu się ubierać tylko tak jak jest "chodźmy do sołtysa, tam porozmawiamy". No i zabrali do sołtysa tam stała tzw. kibitka ~~dwie~~ dwukółka, wzięli go na siedzenie, kajdanki założyli i wywieźli do Kolna do więzienia. Pani sołtys przyszła do nas i powiedziała co się stało. No i później pojechaliśmy na drugi dzień. Brat młodszy pojechał do Łomży do więzienia, tam jeszcze carskie więzienie było tzw. "Czerwieniak" i wręczył bratu buty, ubranie, koc no i jedzenie i to był ostatni raz kiedy przyjęto coś dla brata. Brat nazywał się Zygmunt. Później z opowiadania brata wiem, że przesłuchiowano go w bardzo ciężkich warunkach bo bito, kopano, przedstawiono właśnie tego listonosza na oczy przed oczy brata, który oświadczył że był jego komendantem w ZWZ. Brat mówi, jak mogłem być jego komendantem, jak ja się z nim od czasu rozpoczęcia działań wojennych nie wiedziałem i pyta się "panie Lichota, kiedy my się obaj widzieli ostatni raz?" Tamten zastanowił się i mówi, że przed wojną 15 sierpnia na odpuszcie w Grabowie, a wobec tego brat pyta się no to jak ja mogłem być jego komendantem, jak on się ze mną widział 15 sierpnia przed wojną jeszcze. Tamci kopniaka dali za przeproszeniem w tyłek temu panu Lichocie i wypędzili go z tego pokoju przesłuchań ale bratu powiedzieli, że ty padochniesz jak sobaka w tiumie my тебе nie wypuścim, będziemy dotąd

szukać, aż znajdziemy takiego, który powie, że jesteś tym komendantem. Brat mówi nie jestem i w te sprawy się nie bawię. A "Strzelcy" twoi gdzie są? Brat mówi ten nie wrócił z wojny, trzech zabitych, czwarty gdzieś tam wyjechał, do niewoli był wzięty i wszystkich tam wymienił, których wogóle nigdzie nie ma tutaj na naszym terenie. Zakłęli tylko i wypędzili jego do celi, w której w pojedynczej celi siedziało ich dziesięciu albo i dwunastu nieraz ludzi, a że kładli się na podłodze na bok, jak chcieli się przewrócić to wszyscy na komendę musieli się poprzewracać. Bardzo ciężkie warunki były, nie dali żadnych do golenia przyborów, urosły im brody i wąsy. Siedział tam 9 miesięcy, a myśmy przekonani byli, że jego wywieźli na Syberię, tak robili, kto się przyznał zaraz w transport i na Sybir albo do łagrów. Tymczasem brat się nie przyznał i jego trzymali do 22 czerwca 1941 r. W czasie napaści Niemiec na Związek Radziecki, to było niedaleko jakieś 15 km od granicy Prus Wschodnich, Rosjanie zajęli obronę za nad Narwią i więzienie zostawili tak na pastwę losu, ludność cywilna wyłamała drzwi, zdobyła klucze, pootwierzała wszystkie cele i więźniowie puciekali. Kto uciekał prosto na ulice został zastrzelony bo tam ustawili cekaemy i tych więźniów co uciekali prosto ulicą... Brat znał dobrze Łomżę i uciekł tylnym wyjściem do gospodarza, z nim pięciu jeszcze kolegów, na siano w chlewie weszli na górę i przespali noc i rano tylko słońce wschodziło to uciekli do lasu. I przed lasem były okopy i wyszedł żołnierz radziecki, żeby prosić o papierosa, a za nimi już konno z pistoletem jechał NKW-dzista, z tym, że był jeszcze bardzo daleko, zobaczył że żołnierz wyszedł z okopu to myślał, że ten żołnierz ich zatrzyma i wrócił z powrotem to ich uratowało i uratowało życie. A 20 czerwca czyli dwa dni przed tym, przyjechali do nas samochodem kilku żołnierzy i oficerów i o drugiej w nocy nas aresztowali. My wróciliśmy tylko poprzedniego dnia z okopów, kopaliśmy okopy przeciwczołgowe w Lachowie, trzech braci nas było i dwóch gdzieś z pod Stawisk, pracowników, którzy wszystkich pędzili do kopania i umacniania pozycji na granicy Prus Wschodnich. Dobrze, że mieliśmy wyżywienie swoje, ^{za}zrobieliśmy jakieś dwa tygodnie czy więcej świniaka takiego dwustukilogramowego i to wędzone wszystko było już w słoje smalec przygotowany był a sąsiad upiekł chleb taki w piecu wiejskim ~~gdzie~~ dziewięć bochenków dużych takich, to daliśmy mu zboże a on nam dał ten chleb. Mieliśmy na całą drogę i jeszcze (jeśli chodzi o tego świniaka) na rok czasu w przyszłości tam dokarmiać się bo przecież wyżywienie nasze było okropne. Zupa, jeden kartofelek czy to przekrojony na pół jeszcze, kawałek liścia kapusty i na drugie danie dwie, trzy łyżki jaglanej kaszy. Ale wspomnę teraz o podróży. Nam dano jakieś dwie, trzy godziny do załadowania furmanek, jacyś byli jeszcze możliwi NKW-dziści, ~~z~~bo niektórym tylko pół godziny i koniec, ~~kt~~ ⁶²zdażył to zdażył, a reszta zostawała. Nam jakoś dali dosyć czasu, załadowaliśmy się na furmanki, jedna jeszcze rodzina była z naszej wioski i z sąsiedniej wioski też jedna rodzina ²⁾zabrali, której ojciec tej rodziny był przedwojennym KPP-owcem, z Komunistycznej Partii Polskiej i to jemu nie podoobało się, jak oni tu zaczęli gospodarzyć i wypowiadał się ujemnie o tym wszystkim i jego też aresztowali z rodziną, syn ich zginął pod Warszawą jak forsowaliśmy Wisłę. Do Łomży nas zawieźli na stację i tam stał pociąg i towa-

rowe wagony bydlące. Wagon był podzielony na dwie części, prycze na górze i na spodzie też mieścili się ludzie. Braliśmy pościel, każdy już miał i ta pościel rozścielona była na deskach na pryczach albo na dole. Ubikację to zrobili nam, uchylili nam trochę drzwi wagonu i wstawili tam bez dna wiadro. A myśmy sami już zorganizowali tam taką zasłonę z koca żeby się zasłonić. To było najgorsze że ludzie się denerwowali, wstydzili się to było takie okropne, jednak dobrze że było ciepło, to był czerwiec, lato gorzej mieli ci, co ich w zimie wywozili. W wagonie było tak z dziećmi razem około 50 osób. Okienko było jedno do oddychania, to usunęli troszkę drzwi i upał ten też dokuczał. Śpiewaliśmy całą drogę pieśni kościelne, bo nadzieję mieliśmy, a szczególnie jak dowiedzieliśmy się, że wojna wybuchła, że może zaskoczą nas z Finlandii Niemcy i przetną nam linię kolejową i wrócimy z powrotem do Polski. Bo zamiar był władz radzieckich zawieźć nas do Archangielska. Ja miałem ze sobą worek książek szkolnych od IV do VII klasy, które później przydały się matce, bo jak myśmy poszli do wojska I Dywizji to utworzono szkołę i nie było książek. Matka oddając te książki, dzięki temu przeżyła bo była zaprowadzana jak uczniowie tej szkoły.

W tej podróży ja miałem atlas i zaznaczałem kółeczkami te miasta przez które przejeżdżaliśmy i się dobrze orientowałem gdzie jedziemy. Z początku tak na pół drogi do Archangielska dowieźli i później jak tam Niemcy z Finlandii wyszli to cofnęli. Ja patrzę my jedziemy z powrotem do Polski, tu krzyk, radość że jedziemy z powrotem do Polski, a tymczasem do stacji takiej węzłowej nas przywieźli w lesie i słyszymy głośniki przemowy Stalina, a to już było 2 lipca, to już ~~12 dni~~ 10 dni od wybuchu wojny a myśmy nie orientowali się, że jest wojna już, bo na stacji dali wody, troszkę zupy i dalej i jazda dalej. Dopiero w tym lesie nie pamiętam zdaje się Gorki ta stacja nazywała się, dowiedzieliśmy się, że już wybuchła wojna i nadzieję mieliśmy że oni nie dadzą rady już nas wieźć, przecież to wojsko trzeba teraz wieźć przede wszystkim na front a nie bawić się cywilami. Na jednej stacji spotkaliśmy transport Litwinów, ci oświadczyli, że ich pociąg został pędzony przez samoloty niemieckie, zbombardowany i część wagonów oderwało się od tego transportu i zostało tam. Ci ludzie mieli szczęście bo chyba dalej już ich nie wieźli. No jakoś my szczęśliwie dojechaliśmy, bo później już za Uralem zasięg samolotów już był znikomy niemieckich ale przeważnie jechaliśmy w nocy a w dzień trzymano nas tam gdzieś na stepie w lesie, żeby tutaj bliżej linii frontowej. A później jak już Ural przekroczyliśmy to już bez przerwy. Jechaliśmy tam 28 dni. Nikogo oprócz ekipy, która szła po wodę tzw "kipiatok" - gorącą wodę i zupy, chleb co jakiś czas nie codziennie dawali jedzenie, co trzeci co czwarty dzień, bo wiedzieli oni, że zawsze ktoś coś zabrał, ale były rodziny, które tylko na ich tym pajgu były, bardzo ciężko przeżyli tą podróż.

Przywieziono nas, pierwszy raz wypuszczono z wagonów w Nowosybirsku. No oczywiście każdy zaczął zaraz tam gotować, co kto miał, w garnuszkach na kamieniach. Przeprowadzono jeszcze raz rewizję, obawiano się, że ktoś może będzie miał broń,

może jakieś ulotki ,także szczegółową rewizję dokonano.Wyprowadzono nas do baraku,nie wiem na co one służyły,ale widocznie też w okresie letnim tam więźniów trzymano.Przywieziono nas do takiego miasteczka Topczycha to było około 500 km może więcej od Nowosybirsk w kierunku Barnau.I tam nastąpiła rozdzielanie do prac w kołchozach i sowchozach.Przyjeżdżali z kołchozów i sowchozów rybacy z nad Obi,rzeka Ob,olbrzymia rzeka,i tam kilka rodzin też się dostało do takiego kołchozu,gdzie byli również rybacy i trudnili się łowieniem ryb.Nas natomiast załadowano na samochód i jakieś 25 km od tej Topczychy zawieziono do sowchozu.

Barak był przygotowany już,to był kiedyś tzw.cielatnik,cielęta trzymali w tym baraku,okna były porobione,powstawiane,sufit zrobiony,na podłodze glina wybita,desek nie było.Mieliśmy to szczęście,że były żelazne łóżka już,a tam zawsze jakiś siennik to się z worków,słomy się napchało i mieliśmy na czym spać.Do pracy zaraz,po kilku dniach kwarantanny,bo byliśmy zawszawieni, mieliśmy świerzb,to musieli nas leczyć,bo to było jednak 28 dni bez mycia, bez higienicznego życia to ludzie strasznie wyglądali.Umyliśmy się dopiero pierwszy raz po 28 dniach w Nowosybirsku,jak nas wyładowano z wagonów.Było takie odprężenie,ludzie padali,jeden staruszek w naszym transporcie zmarł,jego zaraz wyniesiono na pierwszej stacji,nikt już z rodziny nie miał możliwości go pochować.

Rozpoczęliśmy pracę po kilku dniach ,jak u nas w PGR, pierwszą pracą było koszenie trawy,najpierw bliżej tego sowchozu,do 5 km,chodziliśmy pieszo,później już jakieś 30 km nad dopływem Obi Alejsk rzeka to była ala nasz Bug,i nad tą rzeką były pałacie trawy i tam ręcznie kosiliśmy.Ja miałem 17 lat,ale kosa w rękę nie miałem bo uczyłem się jeszcze i do takich ciężkich prac to było trzech braci w takiej małej gospodarce,to co tam dla nich było kilka morgów skosić trawy.Ale niestety musiałem jak mężczyźni dorośli kosić.

Najgorsze były wieczory,bo tam takie komary były i twz.moszkam,maleńka taka meszka,mieszkaliśmy w takich pobudowanych z gałęzi szałasach,to gdyby nie ludzie ,którzy palili papierosy,to trudno byłoby tam przenocować,a dym z papierosów jakoś odpędzał,co godzinę zmieniali się ci palacze.Ta praca trwała do jesieni prawie.Ludzie,którzy coś znali się na mechanice to dali ich do kombajnów kosić zboże.Ziemia tam bardzo była urodzajna,czarnoziem taki jak na Ukrainie i sialiśmy samą pszenicę,buraki cukrowe,warzywa -kapustę przeważnie,pomidory o dziwo,przecież tam lato trwało tylko trzy miesiące.

W początkach maja zaczęliśmy siać ,a 15 września to już był 15-stopniowy mróz,musieliśmy się szybko spieszyć ze zbiorem,żeby zebrać,oczyścić to zboże i wywieźć do Topczychy do elewatorów.Buraki cukrowe zbierano już późno jesienią,u nich późna jesień to już jest wrzesień,choć ziemia była zamrznięta, mieliśmy takie kilofy i traktory,które buraki podrywały i myśmy tylko liście obcinali i czyścili ziemię,kopce składaliśmy ,buraki zasypywaliśmy ziemią i na drugi dzień to wszystko było już zamrznięte,już od nowa znów trzeba było,ale organizowano zbiór buraków sprawnie bo niedaleko nas był obóz, składający się z 15 tys. więźniów i część tych więźniów przywieziono do roboty.Któregoś dnia NKW-dzista przyszedł do mnie,dał mi karabin i żeby pilno-

4) wać więźniów. No to jeszcze na polu to oni nigdzie nie uciekną, to był step. Ale po powrocie niektórzy z nich brali buraki cukrowe, karmiono ich jeszcze gorzej jak nas. Ci ludzie brali te buraki cukrowe do baraku, tam był piec do ogrzewania i wrzucali do pieca i po oberwaniu tej skóry spalonej, sam miążz z tych buraków cukrowych nadawał się do jedzenia. Po kilku dniach przyszedł ten NKWDzista i zauważył, że ja pozwoliłem te buraki tam smażyć. Koniec mojej pracy już był przy tych więźniach a na domiar złego jeszcze było zimno już i ja wszedłem do baraku tego, przy drzwiach stał ~~na~~ taboret i usiadłem sobie na tym taborecie i rozmawiałem z niektórymi no to już propaganda. Na drugi dzień już mi zabrano broń i do innej roboty. Dyscyplina była ogromna, kto spóźnił się do pracy pierwszy dzień czy tam parę minut to upomnienie dostawał, drugi raz jak się spóźnił do pracy, wystarczyło pół godziny, 10, 15 minut - 25% potrącano z poborów. Pobory były bardzo kiepskie bo ja jak później jako traktorzysta to zarabiałem już w 43 roku około 200 rubli, a 100 rubli kosztowało małe wiaderko kartofli. Nie przywozili do nas do sklepu wogóle soli, to myśmy sól kradli wożąc ze stacji dla bydła sól głowiastą, w ten sposób, że rzucaliśmy przed sowchozem do krzaków a później w nocy szło się z workiem i zabierało. Mieszkaliśmy w tych barakach cielących cielatnikach jak oni nazywali około 15 rodzin, były dwie kuchnie, na początku baraku i na końcu, wejście było z dwóch stron i po przyjeździe z pracy, godzina 7, 8⁰⁰ a w okresie letnim 11⁰⁰, a pisali nam do listy tylko 8 godzin, to każda z gospodyń chciała coś tam ugotować, to kolejka robiła się, a czym paliliśmy? Nawóz nie wywoziło się na pole żeby służył jako obornik do nawożenia ziemi. Robiono tzw. kiziaki. Formy takie jak u nas robi się torf, mieszało się to ze słomą i wkładało się do tych form, jak to troszeczkę przeschło, formy się zdejmowało i jak już te twz. kirbicze urosły to odstawialiśmy w kozły i to schło żeby mieć na zimę opał. Jak dostaliśmy się do pracy w polu końmi to rąbaliśmy takie karłowate drzewo, brzoza przeważnie i przywoziliśmy do baraku żeby było czym palić w kuchni. Piecu do ogrzewania oczywiście nie było, Myśmy akurat dostali pierwsze łóżka od bramy wyjściowej, takie były szpary, że można było palec między deski wetkać. A szczury były tam takie, że mąkę i mięso co przywieźliśmy z Polski oczywiście, bo tam nie dawali, wieszaliśmy do belek u góry, żeby to zabezpieczyć. Szczury rzuciły się na dzieci, takie jak koty, trzeba było stróżować jak ktoś przy tych kuchniach był, dokładaliśmy drzewa żeby troszkę cieplej było. Widząc to uprawiajuszczycj przyszedł do nas do baraku imówi do brata, który był fryzjerem, jego golił i strzygł, dyrektora tego sowchozu, "wasza rodzina dostanie, dostanie pokój jeden." To była wielka, wielka rzecz. Dostaliśmy jeden pokój, gdzie zmieściły się cztery łóżka, była jedna kuchenka, piwniczka mała, gdzie chowaliśmy ukradzione zboże i tą sól. Pokój był przejściowy, przed nim w pokoju też jeden Żydek³⁾ z żoną mieszkał, to jemu dali pracę w księgowości, ponieważ Żyd był dyrektorem tego sowchozu to swoich Żydków zawsze umieszczał do pracy lepszej, lekkiej. Ale najważniejsze było, że mieliśmy swój własny pokik, gdzie nie było szczurów, gdzie można było umyć się porządnie chociaż wodę to tylko ze studni mieliśmy. Gorsze było to, że kończyły się nasze zapasy i trzeba było

przejsć na stołówkę ich, to jak już wspomniałem na początku liść kapusty, kartofelek przekrojony na pół i troszkę tam kaszy jaglanej to stanowiło całodienne wyżywienie. Trzeba było kombinować, Zboża i pszenicy to tyle było tam nagromadzone, a nie było gdzie trzymać to na polu sypali w takie olbrzymie, samego ziarna, olbrzymie stogi, sterty, przykrywano tylko słomą i to zimową porą jeszcze czyściliśmy w takich trijerach to zboże i wywoziliśmy do elewatorów bo wszystko, jak mówili nam "wsio dla frontu" wszystko ~~dla~~ wywozili gdzieś do młynów i później mąkę bliżej frontu i wyżywienie przede wszystkim musiał mieć żołnierz. Jedna z naszych znajomych, zaniósła dziecko małeńkie do karmienia do matki, i niosąc z powrotem dziecko nakarmione już przez matkę, wzięła sobie w fartuszek około 5 kg pszenicy. Idąc przez podwórze napotkała natknęła się na NKWDzistę, który zrewidował ją i razem z dzieckiem i tą pszenicą do kancelarii sowchozu. Tam nastąpił od razu z miejsca sąd, z tych pracowników umysłowych, którzy tam pracowali utworzono ekipę sędziowską i z miejsca zasądzono ją za te 5 kg pszenicy 5 lat więzienia. I nie pozwolono jej nawet wrócić do swego baraku, żeby coś zabrać tylko tak jak stała, wezwali tylko tą matkę żeby zabrała dziecko, a ją w kibitkę i do więzienia. Też widocznie do tego łagru 15-to-tysięcznego oddalonego od nas jakieś 30 km, w tym okresie zimowym to było widać łunę świątek, mówiono nam, że to była griest. Z tej racji, że brat był fryzjerem to mieliśmy troszkę przywileje. Bo jak wracał od dyrektora to dostał tam z pół bochenka chleba, bo ~~tam~~^{go} tam strzygł i golił, poszedł na drugi dzień do uprawiajuszczonego to też tam kartkę mu na chleb dawał, to właśnie był rarytas, pół bochenka chleba dostać to było coś. Dzieliliśmy to na cztery kostki, każdy z tego sobie miał, czasami dostawaliśmy od 100 do 200 rubli miesięcznie ale za ten chleb, który codziennie dostawaliśmy wieczorem zaznaczam po pracy, kto nie poszedł do pracy to nie dostał, był chory czy coś, jak chory był to tylko 15 dag dawali chleba dziennie,...

Tylko chciałem przyznać, że poza tą dyscypliną taką to nie bito ^{nikogo} ~~nas~~ nie zauważyłem żeby kogoś ~~uderzyli~~ uderzono. Byliśmy wolni jak to oni mówili. Dlaczego może nie znęcano się tak jak w innych miejscach, wystarczyły inne katorgi, jak ubrania, nie dawano nam ciepłego ubrania przy temperaturze zimą do 40 stopni minus. Nie dawano jedzenia odpowiedniego, ludzie ginęli jak muchy. No bo robotnik, który pójdzie tak ciężko pracować musi być odżywiony. Tylko dlatego że myśmy kombinowali, kradliśmy i to nie kradliśmy 5 kilogramami jak ta kobieta tylko ~~jak~~ workami. Mój brat jak pojechał sprawdzać, bo był w straży pożarnej, komendant tej straży był równocześnie komendantem policji i pojechali w teren sprawdzać placówki, gdzie było nasypane zboże, i tam dozorców czy tam nie śpią, czy dobrze pilnują, to kazał bratu wrzucić jeden worek pszenicy do sań i drugi worek dla niego. Oczywiście do domu nie przyniósł jego bo trzeba było gdzieś w śniegu, w krzakach zostawić i nocą przynosić po 10-15 kg bo inaczej jak ktoś by zobaczył to byśmy do więzienia poszli. Miałem takie szczęście, mieliśmy wszyscy takie szczęście, że nasz sowchoz

to się składał z Polaków wysiedlonych kiedyś spod Kijowa i Ukraińców, którzy nie chcieli wstępować do kołchozów i sowchozów, więc ci ludzie to byli dla nas braćmi, można powiedzieć bo na takim samym koniku jechali jak my. Ich jeszcze w gorszym stanie przywieziono bo w 32 roku przywieziono do lasu do ~~ta~~ tajgi i kazano im kopać ziemianki i wszystkie dzieci, które przyjechały zesłane właśnie na Sybir to poumierały. Tylko dorośli i młodzież, która zdołała tam przecierpieć, nie wiem dokładnie ile oni lat byli w tajdze ale tak samo jak naszym rodzinom które wcześniej były wywiezione w latach 40-tych i 41r. na wiosnę do tajgi, to tragedie tam się działy. Spotkałem jednego mężczyznę, który po zawarciu umowy z Sikorskim został zwolniony z tajgi, sam tylko wrócił, a dziewięcioro dzieci i żonę pochował w tajdze, z głodu umarły. Coś okropnego. Myśmy jeszcze zawdzięczając może temu, że to był ostatni transport, dostaliśmy się do kołchozu, to jeszcze pracując przy żywności, to jako tako można było jakoś coś skombinować czy pomidor zielony jakiś czy kapustę pod wiązką siana przywieźć do domu i ugotować. Także warunków takich jak panowały w tajdze to nie ~~były~~ mieliśmy. W tajdze tylko to co zarobili te kilka kg na kilka dni mąki dostali i tą mąkę mieszano z trocinami brzozy. I takie "lepioszki" tzw. piekli i tym się żywili, to było straszne jak z początku z inną jakąś, z innymi trocinami mieszano to dzieci poumierały bo do tego nie nadaje się świerk ani sosna tylko brzoza do mieszania tego. Dzięki temu właśnie, że byliśmy pośród wielu Polaków, którzy mieszkali na terenach ZSRR Ukrainy dosłownie pod Kijowem i przywiezieni byli w latach 30-tych, to mieliśmy po prostu przyjaciół. Ja np. jak ukradłem zboże albo pszenicę to odważyłem się przywieźć do młyna gdzie Polak był młynarzem i on mi potrafił zemleć tą pszenicę a tak to ukradzione to zboże czy w kieszeni czy w gdzieś tam w workach nie wysypanych dokładnie w elewatorze to śmy suszyli na blatach, na kuchni i tłukliśmy po prostu w takich spoządzonych stępach. Tłuk ze starego traktora wyciągało się razem z koszulką i kawałek łomu się brało i sypało się zboże do tego i tłukło się a jeden taki z Polaków, który ciepło się ubrał wychodził w nocy i słuchał, patrzył, żeby ktoś z NKWDzistów nie przechodzi. Gdybyśmy nie kradli to byśmy nie przeżyli. To trzeba tak otwarcie powiedzieć. I Ruskie kradli i my. A zboże gniło dosłownie. Żeby oni pozwolili nam chociaż kupić tej pszenicy, a nie to kradzione. Moja żona była w kołchozie w Kazachstanie to na wiosnę szli, gdzie była nie zebrana pszenica i te kłosa, które przezimowały, bo tam jak chwyci 15 września mróz to dopiero odwilż następuje 1-2 maja, także to zboże było jak w lodówce, i ścinali to zboże i kruszyli w rękach i piekli potem z tego..., trzeba było jeszcze tą pszenicę gotować, bo posiadała jakiś enzym w sobie i jeżeli ją tak od razu wrzucić do garnka, nie gotując jej i nie zlewając wody to ludzie truli się. Z początku nie wiedzieli co to za przyczyna jest i dopiero doszli do tego, że trzeba było gotować i suszyć jeszcze raz i dopiero tłuc w tych stępach i coś z tego robić, przeważnie robiono tzw. lepioszki, mąkę to przesiewaliśmy zboże, to co przez sito przeszło to mąka była a reszta to kasza z wodą gotowa-

ła się. Ja pracowałem jedno lato ^{przy} w mleczarni, przywoziłem z mleczarni mleko odchudzone do fermy świń, to mogłem się w mleczarni wszystkiego najeść ile chcąc ale broń Boże dla matki wziąć, nawet tego odtłuszczonego mleka z butelki nie wolno było nie lzia, powiedział mi ten kierownik mleczarni, że jak ciebie złapią z butelką takiego mleka to ty dostaniesz 10 lat i ja 10 lat, nie wolno. Możesz zjeść na miejscu. Ale miałem na tyle dobrze, że ~~ja x x x x x~~ później jeszcze mleko przywoziłem z wypasów tzw. gdzie krowy pasły się w okresie letnim, to przyjeżdżałem po mleko, no to już cały dekier ze dwa litry mleka dali mi wypić, ale to był tylko ten jeden rok niestety gdzie taką pracę dostałem. Bracia natomiast, też jeden pracował końmi, siano woził, inne czynności tam jeszcze wykonywał, bo codziennie to nieraz zmieniał się pracę. Później w roku z 42 na 43, poszedłem na kurs traktorzysty, no to całą zimę byłem w ciepłym pomieszczeniu i dostawaliśmy już troszkę lepsze wyżywienie, bo tych uczących się i tych co wykonywali czynności traktorzysty to oni traktowali jako I klasa ludzi, dawali nam i pobory większe i wyżywienie. Jak poszliśmy do wojska w 43 roku w czerwcu, to kobiety uczyły się jeździć traktorem i pracować. Moje koleżanki, które nie poszły do I Dywizji, później przysyłały mi listy, w których pisały, że nagrody dostawały, to jedna świnia dostała, to jedna kilka kg maki czy pszenicy. Chwymano się różnych sposobów, żeby jednak mężczyzn zastępowały kobiety. Nasz sowchoz liczył około 8000 ha, a ludzi było mało bo przeważnie mężczyźni to byli w wojsku. Zostali tylko mechanicy, którzy byli kalekami, ale byli specjalistami od naprawy tych maszyn, traktorów i różnych narzędzi potrzebnych do gospodarki rolnej.

W 43 r. w maju powołano rezerwistów do wojska do I Dywizji, która tworzyła się w Sielcach, mnie nie wzięto podczas tego poboru, bo rzekomo zostawiono mnie przy matce starej, która miała już 60 lat, ale tu chodziło o to, że ja byłem traktorzystą, a takich ludzi potrzeba było. Mama moja mówi "ty skocz na samochód, jak będą wieźli poborowych do wojska i jedź z nimi razem bo może przeżyjesz a tu my może jeszcze tą zimę przeżyjemy bo będziemy sprzedawali te rzeczy, które po bracie zostały (a oprócz mnie było jeszcze dwóch braci), jak zostaną te rzeczy wszystkie dla mnie to ja dłużej przeżyję" tym się kierowała. Trudno może jakoś się uda przeżyć wojnę. No i rzeczywiście tak się stało. Ja wskoczyłem na samochód, przyjechałem do RKU, a tam już dzwoni dyrektor i Olszewskiego Józefa proszę zwolnić on jest bronirowany tzw. bronirowka to znaczyło zwolnienie od służby wojskowej, bo zakłady pracy zwracały się do niektórych ludzi. A ja mówię: ja idę walczyć za swoją i waszą ojczyznę. On mówi "on ~~idzie~~ idzie wajawać za naszuju i ichnuju rodinu" i nie puścił mnie. Co jeszcze w pracy w sowchozie? Jeden taki utkwiał mi w pamięci fakt. Jak już mówiłem, kto się spóźnił do pracy to najprzód upomnienie, potem 25% potrącali, a później sąd i więzienie. Jedna z naszych Polek, młoda dziewczyna 16-17 lat, nie miała w co się ubrać, szmatami zawiązywała porwane buty i zawsze spóźniała się, no i doszło, że posadzili ją do więzienia, przeżyła w więzieniu tylko jedną noc, bo zatrzymała sobie kawałek chleba, na drugi dzień, na śniadanie, bo tam też dawano tylko wieczorem wyżywienie, znaczy chleb,

i współwięźniarki ukradły ten chleb, ona poskarżyła się do naczelnika więzienia i na drugą noc już ją zamordowano. Jej brat otrzymał telegram, że nie żyje niech przyjeżdża na pogrzeb, ale nie pojechał bo to było daleko i nie był w stanie dostać się tam bo i czym. Do najbliższej kolei było 5 km ale więzienia były rozrzucone po całej Syberii.

Drugi taki wypadek, Ukraińiec, który był w tych latach 30-tych wywieziony też tutaj na Syberię i potem dostał się do naszego sowchozu, taki dobrze zbudowany mężczyzna w wieku jakiś 55 lat, zachorował, dosłownie przeziębził się też się spóźnił do pracy 2-3 razy i zabrano go do więzienia i już nie wrócił. Jego koledzy mówili, że zmarł w więzieniu z wycieńczenia i głodu.

Mama moja jak poszliśmy do wojska została przez kuzynów przewieziona do kołchozu. Kuzyni starali się zaopiekować mamą, ale jak zobaczyła, że sprzedają jej rzeczy i dzielią się z rodziną całą, to kupiła sobie taką ziemiankę, wzięła do siebie jeszcze jedną panią spod Ostrołęki, która miała chłopca 12-letniego i ten chłopiec pracując w polu, przywoził dla nich drzewo. To nie był barak tylko ziemianka, tam można było ogrzać, to jest jakieś półtora metra w ziemi domek i tylko tyle żeby okna wystawały na wierzch to było tyle części tego domu. Oczywiście też zbudowane były z odchodów bydlęcych mieszanym z gliną i robiono takie cegły, suszono w okresie letnim, a dach tak samo nakrywano rżerdziami różnymi z tych brzoź, słomą i też rozrobiona glina z tymi odchodami bydlęcymi bo to trzymała się, bo sama glina to by popękała i woda by ciekła.

Jak już wspominałem te książki przydały się szkolne, cały worek przywiozłem, jak zrobiono zebranie, że szkoła będzie polska ale nie mają nauczycielki z czego uczyć, nie ma książek, mama podnosi rękę i mówi: ja mam wszystkie książki od IV do VII klasy podstawowej, to w rekompensacie otrzymała zapewnienie, że do końca, jak będziemy na Syberii będzie dostawała śniadania, obiady i kolacje w tej szkole i dzięki temu przeżyła. Nie wiem co by się stało jakby już swoje rzeczy rozprzedała. Dawali matce, która miała trzech synów w wojsku dwa razy na tydzień po 15 dag chleba, państwo dawało i to trzeba było jeszcze to wykupić, a skąd? żadnych nie było zapomóg, troszkę z armii Andersa zostało żywności, jak mleko skondensowane, konserwy no to poprzez naszą organizację Związek Patriotów Polskich, rozprowadzane było ale ile tam Rosjanie nakradli ile nasi kombinatorzy, jak do tej ostatniej osoby doszło to kubek mleka i jakaś jedna konserwa i później znów trzeba było czekać miesiąc. Kupić można było ale nie byliśmy oficerami, tylko brat był plutonowym to dostawał wyższą pensję, wyższy żołd i przysyłał matce od czasu do czasu i dlatego zbierała sobie te 600 rubli na kupno tej ziemianki. To była cenna pomoc ze strony brata. Myśmy dostawali po 10 rubli po 5 rubli nieraz na 10 dni, to tylko żeby kupić sobie pastę do butów, pastę do zębów, żyłetkę. Ja za swój żołd pamiętam poszliśmy na spacer nad Okę z bratem, to on kupił, po 5 rubli płaciliśmy za jedną sztukę gotowanego kartofla w mundurkach. A to był rarytas, to była uczta, jak on, ja oczywiście oszczędności nie miałem takich ale brat jeszcze od czasu

do czasu jeszcze mógł coś tam kupić. Co do dalszych losów naszych, no to brat jeden co był tym fryzjerem na Syberii, znaczy dodatkowo tę funkcję pełnił, wieczorem tylko szedł, zginął pod Warszawą, przedostając się na drugą stronę Wisły, rannych zabrać, okazało się, mimo, że wszystkich spisano tych sanitariuszy, którzy płynęli łodzią i łódź została rozbita, wszystkich na straty spisali brat przeżył. A matka dostała akt zgonu, że nie żyje. Tymczasem po kilku miesiącach NKWD doszło, że brat się dostał do niewoli bo wywiad wykazał, zrobili sabotaż w fabryce amunicji, dosłownie pocisków artyleryjskich, i tam ich później tą grupę żołnierzy radzieckich i polskich wydano z tego obozu pracy do obozu koncentracyjnego. W obozie tym było ok. 3000 żołnierzy polskich i radzieckich i w końcu wojny to zostało ich z tego obozu tylko 300.⁵

I to goniono ich do lasu, żeby ich rozstrzelać i amerykańskie czołgi zagroziły im drogę i całość zabrano do niewoli tych esesmanów, a Polaków wszystkich co do jednego do szpitali. Brat leżał pół roku w szpitalu. Miał przestrzelone czterema pociskami nogi i jeszcze nie dogojone były rany, a już musiał pracować. Do kraju nie wrócił, gospodarzkę mieliśmy małą, później zorientował się, jak już pisaliśmy do siebie, że tam brat, który miał być wywieziony do Rosji to przeżył i wrócił na gospodarzkę i jak myśmy byli w Rosji, gospodarzyliśmy z jedną starszą panią, która gospodynią jego była, a jeszcze propaganda taka tam była, że kto wróci i rzeczywiście oficerowie, którzy popowracali to byli tutaj aresztowani. Taki Skalski, który stracił 36 samolotów niemieckich to siedział w więzieniu...

Drugi brat był znów też w I Dywizji, przeszedł szlak bojowy aż do Łaby i wrócił później też do kraju, po wojnie. Pracował w Kętrzynie do końca do przejścia na emeryturę. Tam zmarł, pochowany jest w Grabowie, w naszej parafii, w powiecie Kłno.

Ja natomiast byłem jak cała dywizja nasza, w bitwie pod Lenino braliśmy udział pod Lenino tam trzeci brat Stanisław został ranny, ze szpitala skierowano go do Podoficerskiej Szkoły Sanitarnej i tam już podczas wojny był sanitariuszem w 3 Pułku Piechoty. Mnie natomiast po bitwie pod Lenino skierowano, jak cała dywizja przyjechała na Podole, zostałem skierowany do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Łucku to jest na Wołyniu. No i tam oczywiście do końca nie byłem ponieważ zachorowałem na tyfus brzuszny, trzy miesiące leżałem w szpitalu, po trzech miesiącach dostałem urlop, przyjechałem do Białegostoku, a Łomża jeszcze jest pod Niemcami. Musiałem z powrotem wstąpić do tam stacjonującego 4 Pułku Zapasowego i tam z nudy po prostu wstąpiłem do kancelarii za pisarza i jak już zbliżał się koniec wojny, nasz pułk, utworzono 16 Dywizję z naszego pułku, przerzucono do Gdańska i tam jeszcze niektórych Niemców wyszukiwaliśmy w piwnicach i oddawaliśmy Rosjanom do niewoli. Tak zostałem później na oficera zawodowego i do 49 r. byłem w Bałtyckiej Brygadzie WOP-u w Koszalinie, ożeniłem się z obecną małżonką, która też była maszynistką w WOPie. I tak pracowaliśmy do sędziwego wieku emerytalnego. Wspomnienia z Syberii i moje i żony są straszne, bo bez takich ludzkich warunków jak wyżywienie

czy też jeszcze wspomnę, że musieliśmy w pierwszym roku od razu za namową tych zesłańców z 39 roku kupować szczególnie buty filcowe, bo tam mróz jak wspominałem od 30 do 40 stopni, to by w tych butach naszych, kamaszach nie przeszłoby się z baraku do baraku. Jak się splunęło, to spadał lód, na ziemię. Koniom to trzeba było od czasu do czasu rozcierać oczy i nozdrza bo panował tzw. burian, to był lepki śnieg i zasłaniał im oczy i nozdrza i trzeba było stawać i obcierać, konie puszczało się jak byliśmy gdzieś w podróży z sianem do kołchozu, to luzem puszczało się i konie same czuły, gdzie jest ich żłób. Oczywiście jak już było bliżej to słychać było dzwony, gongi były. Okres zimowy to był najbrdziej straszny, ludzie umierali nieraz, nie wracali konie ginęły, wilki rozszarpały koni i tego człowieka. Także te sprawy, które przeżyliśmy przez 3 lata, a wiecznie była nadzieja, że wrócimy do Polski. I ta nadzieja nas trzymała. Robiliśmy taką wróżbę, na stole drewnianym, przewracaliśmy talerzyk, strzałkę rysowaliśmy i ludzie trzymali w cztery, pięciu na tym talerzyku ręce i tutaj były litery i tak jeździliśmy po stole i tak: w którym roku jedziemy? stoliczku, stoliczku w którym roku jedziemy? To już najechali strzałką że w 43, przeszedł trzeci - nie ma, czwarty - nie ma, ale nadzieją żyliśmy wszyscy.

W 41 roku w sierpniu, generał Anders organizował Polską Armię w Buzułku, myśmy wszyscy trzej bracia pisaliśmy podanie, żeby nas wcielono do Armii Andersa, tymczasem mieliśmy znajomego na poczcie i nasze listy zostały zabrane przez NKWD, żeby nie doszły tam do Armii Andersa bo chcąc jechać do Armii trzeba było przynajmniej dwa tygodnie, na dwa tygodnie mieć wyżywienie, a jak człowiek nie pracował to nikt jeść nie dał, chcieliśmy prosić, żeby kartki nam przysłali żywnościowe i pieniądze na podróż. Niestety nie doszło, bo każde listy były kontrolowane przez NKWD.

W okresie zimowym tośmy jeździli traktorami po polach ciągnąc takie pługi drogowe, jak u nas są podobne i ten śnieg zgarnialiśmy w takie burty duże. Wicher, który gnał śnieg po polu zatrzymywał się między jedną, jednym takim nasypem a drugim i ziemia, która na wiosnę wchłoneła tę wilgoć, woda ta ze śniegu, trzymała wilgoć przez całe lato. Bo nie było deszczu, deszcz przeszedł jeden raz, to było dobrze, a tylko dzięki tym chwytom śniegu w okresie zimowym to było zboże, a zboże rosło wspaniale, jak druga Ukraina, ^{Kazachs-} Altajski Kraj, to ^{tan} druga Ukraina, czarnoziem 80 cm a dalej glina. I ta glina trzymała tą wilgoć. Nie sieliśmy żadnego nawozu sztucznego, pszenica rosła rok po roku nieraz i na tym samym miejscu. Łany, tysiące hektarów pszenicy no oczywiście już w tym okresie kombajny były i możliwość sprzątnięcia była, bo w niektórych kołchozach, jak biedny kołchoz, to nie zebrali zasianego zboża. To na wiosnę kruszyli w tych rękach, kłosa zbierali, żeby mieć na kaszę czy na mąkę i to gonik uprawiajuszczij i zabrał jedyny siennik, i potem musieli spać na jakieś słomie, trawie. A wszystkim pozostałym Polakom pozabierał worki. Dzieci nawet małe dzieci, takimi małymi łyżeczkami od herbaty wybierały krochmal po kartoflach niewykopanych, tak samo gonili ich, nie wolno było bo to gozienne. Takim sposobem oni 70 mln ludzi zgładzili w okresie panowania stalinizmu.

Uzupełnienia do tekstu

- 1) Fędzich Czesława z półrocznym dzieckiem
- 2) Ze wsi Glinki państwo Kajwelt - mąż i żona ,dwóch synów i córka
- 3) Boćko z żoną
- 4) Z powodu braku rosyjskich mężczyzn. Byłem przy tych więźniach tylko jeden dzień.
- 5) Podczas, jak pędzili do lasu, to kto upadł to został zastrzelony.

Zmiejko